

Rogalik w płaszczyku z lukru, połyskującym w świetle jarzeniówki, wyglądał nieziemsko. Czarna kawa z wolna budziła uśpione zmysły.

Wojtek spojrział za okno, zamyślił się przez chwilę, a potem zanurzył koniuszek srebrnego księżyca w toni bezgwiezdnego nieba.

Za chwilę zatrześnie drzwi mieszkania, po śniadaniu zostanie tylko wspomnienie. Czerń nocy powoli zbladnie. Wtedy będzie już pewnie w okolicach Pruszkowa. A może jeszcze dalej.

„*Spokojnego nie znam dnia...*” – zanuci piosenkę Młynarskiego. I herbaty tak jak trzeba nie posłodzi. Życie w drodze. Takie życie. Nie to, że nie lubił swojej roboty. Lubiał, absolutnie!

Ta piosenka była o nim, no, może nie do końca. Nie spalał dwóch petów na czczo. Nie sięgał po papierosa, nim nie zjadł śniadania, nieważne – czy była piąta nad ranem, czy druga w nocy. I nie gnał do ludzi, bynajmniej. Oczywiście oni też istnieli – dyspozytor, magazynier, odbiorca – ale tylko na chwilę. Znaczyli dla niego tyle, ile przydrożne drzewa – biegli mu na spotkanie, obrzucali niewidzącym spojrzeniem i znikali za horyzontem, w tumanie pospiesznych słów i gestów. Nieistotni, jakby nigdy nie istnieli.

On gnał do człowieka, indywidualnego. A konkretnie do niej, jeszcze niekonkretnej, ale wymarzonej, tej „w życiu jedynej”. Gdyby nie nadzieja, że ją spotka, nie wychodziłby z domu, nie wystawiał się na czyhające przy trasie i na parkingach pokusy.

„*Nie ma jak u mamy, cichy kąt, ciepły piec*”. Bardzo chciałby, żeby mama jeszcze żyła, ale już dawno przestał być dzieckiem. Teraz szukał podobnej kobiety, żeby jego syn miał tak, jak on kiedyś. Bo przecież, skoro kobieta, to miłość, dom, rodzina, dzieci, normalka.

Inaczej to nie ma sensu, pan mnie rozumie?, zapytał kiedyś, nie pamięta już twarzy faceta. Nie pamięta też jego odpowiedzi, ale przypomina sobie dokładnie, że tamten nie zrozumiał.

Wykopał alfonsa z parkingu, nie skusił się na oferowaną mu blondaskę. Wyglądała na piętnaście, góra szesnaście lat. Balony rozsadzające zmoczoną bluzkę dosłownie unosiły ją na wysokości okna szoferki. – Nie masz ochoty, tatuśku? – Wycieraczki zmyły osad, pozostawiony przez niemoralną propozycję.

Nie żałował, że nie skorzystał, choć rankiem miał sporo roboty z przebitymi oponami. Takie życie. Nie-raz trafią się w nim niezli trutnie. Nie zawracał sobie nimi głowy, wsłuchiwał się w głos wewnętrznej nawigacji:

„*właśnie w tym tkwi sprawy sedno,
by z tysiąca dróg wybrać tę jedną*”.

Szukał jej uparcie. Miał pewność, że na końcu tej drogi będzie czekać jego miłość. To było tylko kwestią czasu.

Więc wstawał co dzień rano, sięgał po księżycowy rogalik, spijał czerń nocy z maminej filiżanki, zamykał drzwi i, biorąc gaz pod but, ruszał w trasę.

„*Byle dalej, byle w przód, absolutnie. Fa, fa, fa, fa, fa, fa....*”

Jacek Londyn, dodano 23.06.2022 19:43

Dokument został wygenerowany przez www.portal-pisarski.pl.